

Humanistycznej im. A. Gieysztora, wieloletnim adiunktem pełniącym obowiązki kierownika Zakładu Kulturoznawstwa Stosowanego w Instytucie Lingwistyki Stosowanej Uniwersytetu Warszawskiego, przedstawicielem stowarzyszenia „ost – west – forum Gut Goedelitz” w Warszawie. Jest inicjatorem i redaktorem (wspólnie m.in. z Tomaszem Pszczółkowskim) biografii polsko-niemieckich pt. „Historia pamięcią pisana”, redaktorem „Dzieł zebranych Hansa Hellmutha Kirsta”. Jest autorem książek: „Nazizm, wojna i III Rzesza w powieściach Hansa Hellmutha Kirsta”, monografii o Annie Seghers, antologii niemieckich pisarzy wojennych pt. „Sonata wiosenna” i autorem wielu tłumaczeń i opracowań językoznawczych. Należy także raz jeszcze wspomnieć o wspaniałej wydanej autobiografii Karola Czejarka (Świętokrzyskie Towarzystwo Regionalne – Zagnańsk) i książce poświęconej Bronisławie Wilimowskiej; twarda, lakierowana oprawa, 340 kredowych stron zawierających oprócz wciągającej opowieści, ponad 250 kolorowych reprodukcji prac artystki, zdjęć rodzinnych i dokumentów.

Niemożliwe jest, żeby wszystkie osiągnięcia i sprawowane przez Karola Czejarka funkcje wymienić i opisać na połowie strony formatu A-4, dlatego wspomnę tylko o kilku ważniejszych: sekretarz Szczecińskiego Towarzystwa Kultury, dyrektor Wydziału Kultury PWRN w Szczecinie, dyrektor Centralnego Ośrodka Metodyki Upowszechniania Kultury, dyrektor Departamentu plastyki w Ministerstwie Kultury i Sztuki, dyrektor Wydziału Kultury Urzędu miasta stołecznego Warszawy i dyrektor departamentu Książki Ministerstwa Kultury i Sztuki. Uff, wystarczy!



Na koniec rzecz, bez której „portret” Karola byłby niepełny, niedokończony. Ta rzecz, to kolarstwo. Karol Czejarek był wybitnym zawodnikiem, ma na koncie wiele krajowych sukcesów równych wyczynom czołowych kolarzy polskich. Niestety nie zrobił kariery międzynarodowej z powodu

ślasko-niemieckiego pochodzenia, w tamtych czasach uważanego za wysoce podejrzanego. Tym większy mam podziw i szacunek dla Karola Czejarka, któremu bezustannie podkładano ideologiczną nogę, a On mimo to nie załamał się i nie wyjechał do kraju matki, gdzie dopracowałby się także wielu zaszczytów, ale w spokoju i dostatku. No cóż, różnymi drogami chadza prawdziwy patriotyzm.

Mam nadzieję, że ten krótki opis dokonania Karola Czejarka zachęci państwa do „zaprzyjaźnienia się” z niezmordowanym twórcą dobiegającym powoli dziewięćdziesiątki, poprzez kontakt z Jego pracami, wchodząc na stronę: przeglad.dziennikarski.pl.

Szymon Koprowski

Smak uśmiechu

Być może świat nie zaczął się od krzyku. Może na początku była cisza – i uśmiech. Ten pierwszy, lekko uchylony jak drzwiczki do wnętrza kogoś innego. Bezbronna krzywizna warg, która mówi więcej niż słowa. Gdy człowiek się uśmiecha, czas przestaje tykać – zamiera na ułamek sekundy, jakby chciał zapamiętać ten gest czułości wobec istnienia.

Niektóre uśmiechy mają smak poranka – świeży, ciepły, mleczny. Inne – jak powidła ze słoika babci: trochę cierpkie, ale ze wspomnieniem słońca. Są też takie, które smakują jak sól – bo przeszły przez łzy. I są te najbardziej niezapomniane – smakujące jak coś, czego nie da się nazwać, a czego się pragnie wracać.

Uśmiech nie potrzebuje tłumacza. Jest pierwotny, bardziej cielesny niż słowa, bardziej ludzki niż argument. Jest językiem wspólnym dla wszystkich, nawet dla tych, którzy nie umieją mówić – dzieci, starcy, zakochani, milczący.

Czyż nie jest tak, że najważniejsze wydarzenia w naszym życiu zapamiętujemy właśnie przez uśmiech? Nie data, nie fakt – lecz to, jak ktoś się do nas uśmiecha. Uśmiech matki, który kołoi ból. Uśmiech kogoś kto kochał, który obiecywał wszechświat. Uśmiech nieznajomego na ulicy, który – przez krótką chwilę – uczynił świat bardziej znośnym.

Uśmiech to zmysłowa modlitwa. Nie wymaga religii, ale wymaga obecności. Jest jak pocałunek duszy – ledwie muśnięcie, które zostaje w pamięci dłużej niż dotyk.

Niektórzy twierdzą, że świat rozpada się od krzyku. Może więc warto wierzyć, że można go skleić uśmiechem.

Ciało i uśmiech – zmysłowość istnienia.

Uśmiech mieszką na twarzy, ale rodzi się głębiej – gdzieś w zakamarkach ciała, w pulsie krwi, w ciepłocie skóry, w zapachu wspomnienia. Jest ruchem subtelny, który rozświecła spojrzenie, rozluźnia mięśnie, otwiera

pierś. Wystarczy mały skurcz mięśni, a świat nagle staje się mniej obcy.

Smak uśmiechu to nie tylko metafora – to rzeczywistość zmysłów. Uśmiech może być słodki jak pierwszy łyk herbaty wypitej z czyjejś dłoni. Może być kwaśny jak cytryna – gest irytacji zabarwiony sympatią. Może mieć smak czekolady, którą dzielisz z kimś, komu jeszcze nie powiedziałaś wszystkiego – ale już dałaś siebie.

Ciało zapamiętuje uśmiech. Nosimy go jak zapach, jak ślad perfum na nadgarstku, jak ciepło dłoni. Jest uśmiech, który osiada na skórze jak promień słońca – zmysłowy, miękki, lekko drżący. I jest taki, który zostawia drżenie nie tylko ciała, lecz również duszy.

W uśmiechu zamyka się całe nasze człowieczeństwo: cielesne, kruche, pragnące bliskości. Bo przecież uśmiech to nie tylko gest – to zaproszenie: Zobacz – jestem tu. Widzę cię. Chcę być blisko. – Może dlatego tak boli jego brak – jak głód, jak nieobecność ciepła.

Uśmiech to dotyk bez dotyku. Pocałunek w myśli. Ciało odpowiada natychmiast – serce przyspiesza, skóra się rozgrzewa, oczy łagodnieją. Uśmiech przypomina, że jesteśmy stworzeni nie tylko do przetrwania, ale do przyjemności bycia razem.

Być może dlatego najsmutniejsze twarze to te, które nie pamiętają smaku uśmiechu. A najpiękniejsze – te, które dzielą go bez lęku, jak chleb, jak wiatr, jak zaufanie.

Uśmiech – najcichszy z buntów. Gdy świat mówi: zrezygnuj, a Ty – nie krzykiem, lecz uśmiechem – odpowiadasz: jestem. W tym geście mieści się cała siła przetrwania, która nie potrzebuje przemocy ani argumentów. Camus pisał, że „trzeba wyobrazić sobie Syzyfa szczęśliwym” – może właśnie dlatego, że ten, kto się uśmiecha, nie poddaje się absurdowi, lecz nadaje mu własny smak.

Uśmiech jako akt wolności – subtelny, a jednak stanowczy. Bo nikt nie może zmusić człowieka do uśmiechu. Tylko wolny duch potrafi się uśmiechnąć w ciemności. To dlatego tak często uśmiechają się ludzie, którzy wiele przeszli – bo wiedzą, że to jedyne, co naprawdę ich należy do nich. Ich uśmiech nie jest lekki – ale jest prawdziwy.

Nietzsche mówił: „Człowiek nie może żyć bez uśmiechu nad sobą samym”. Może dlatego uśmiech bywa najgłębszym znakiem świadomości własnej śmieszności, kruchości, nieustannego upadania. A jednak – uśmiechamy się. Bo uśmiech to nie zaprzeczenie cierpienia – to jego przemiana. Rysa światła na glinianym naczyniu.

W poezji Herberta uśmiech często pojawia się nie wprost – jako wyraz cichej niezłomności. „Bądź wierny. Idź.” – te słowa nie krzyczą. One się uśmiechają. Cicho. Do człowieka, który się nie poddał. Który umie jeszcze spojrzeć sobie w oczy.

Może więc uśmiech to nie ozdoba – lecz sens. Może jest jak przecinek w zdaniu życia – moment wytchnienia, który pozwala nam iść dalej. A czasem jest kropką. Godzeniem się z tym, co nieodwracalne. Ale zawsze – znakiem życia.

(Dokończenie na stronie 20)